ROK V. Krzemieniec, marzec—kwiecień 1930 r. № 7-8.

198 695

NASZ WIDNOKRĄG

miesięcznik młodzieży liceum krzemienieckiego

DWA WIELKIE DNIE.

Gdy blade słońce październikowe spogląda z poza nagich konarów drzew, gdy chłodnawy wiatr zarzuca ścieżki parku złotem i czerwienią jesiennych liści, wówczas atmosfera letargu spływa w duszę, kierując myśli w przeszłość. W tym to właśnie czasie i my, uczniowe Liceum Krzemienieckiego mamy taki dzień, w którym myśli nasze lecą w przeszłość i snują się dokoła drogich, bliskich nam, a tak wielkich postaci, twórców i budowniczych naszej starej uczelni. I dziwnie bliską wydaje nam się wówczas postać wielkiego solenizanta-Tadeusza Czackiego, choć już tyle lat ubiegło od chwili gdy uniósł się z naszej ziemi w wieczność!

Pomnąc na trud założycieli, którzy dzieło swe do świetnego rezultatu doprowadzili, ogół nasz zabiera się do długiej pracy nad rozszerzeniem horyzontów swej myśli, nad kształceniem woli.

I tak w pracy płyną dnie cicho i jednostajnie, by w pewnym czasie wybuchnąć impulsywnością życia na tle zmartwychwstającej przyrody.

Nadchodzi dzień 19 marca, dzień imienin drugiego dobroczyńcy Liceum, który odbudował z gruzów zwalone przez wroga dzieło, pierwszego Budowniczego. I znów myśli nasze z czcią i miłością garną się do postaci obecnego Solenizanta, tem radośniej, że on żyje i przewodzi odrodzonemu narodowi. A to wiosenne, radosne nasze święto wiąże się z nadchodzącym końcem roku, z różnemi trwogami, ale i nadziejami, a myśli skierowują się w przyszłość.

Tak więc, dziwnym zbiegiem okoliczności, dwa wielkie licealne święta, rozpoczynające pewne okresy w naszem szkolnem życiu, zbiegają się z dwoma przełomowemi momentami w przyrodzie-początkiem jej zamierania i początkiem odżywania. A na tle każdego momentu zarysowuje się wyniosła, symboliczna niemal postać

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Anatoljusz Steeluk.

MIECZYSŁAW KARŁOWICZ.

Dumne swe czoła dźwigają Tatry. . . Słońce ozłaca je aureolą blasków, deszcze zmywają z nich ślady przeszłości, śniegi przysypują istnienie teraźniejszości. Przez wieki przepływały nad niemi chmury, ginąc w przestworzach wszechświata. Często zatrzymywały się na skałach, przylegały do nich, nasłuchiwały, co się w ich wnętrzu dzieje, a słysząc tylko głos tajemniczy duszy górskiej, wylewały obficie swe łzy.

W dnie słoneczne oko nieba widziało wśród skał labiryntu gdzieniegdzie człowieka — mrówkę, jak się skradał z nadzieją w sercu na wyżyny i ze słowem: „wyżej" na ustach.

Widziało tak przez lata długie i tych, którzy wysoko się wznosili i tych, którzy schodzili nisko.

Dnia pewnego, przez chwilę dłuższą zatrzymało swój wzrok na kamieniu, wynoszącym się ponad inne, obok ścieżki.

Rzuciło na niego snop blasków, a w tem świetle wynurzyły się z kamienia litery wykute:

„Mieczysław Karłowicz tu zginął porwany śnieżną lawiną d. 8 lutego 1909. Non omnis moriar".

Ten pomnik nad młodym muzykiem, literatem i taternikiem pamięć społeczeństwa postawiała.

Dwadzieścia jeden lat minęło 8 lutego, jak tragiczną śmiercią, zasypany lawiną śnieżną, zginął Mieczysław Karłowicz.

Jaką rolę odegrał ten człowiek w kolejach życia społeczeństwa? Mieczysław Karłowicz, urodzony 29 listopada 1876 r., od lat chłopięcych okazywał niezwykły talent muzyczny. Od tych też lat, będąc trzynastoletnim chłopcem, rozpoczyna już swe wędrówki tatrzańskie, które rozbudzają w nim żywe zamiłowanie do wycieczek górskich. Mając lat szesnaście, zwiedza sławne szczyty Tatr: Świnicę, Rysy, Gierlach, Łomnicę, Mięguszowiecki. W wycieczkach szuka piękna, która później u dojrzałego męża

krystalizuje się w jego dziełach.

Rok 1894 kończy jego pierwszy okres życia wśród ukochanych przez niego Tatr.

Przez lat dziewięć nie zachodzi w ich głębię, nie stąpa po stromych ścieżkach górskich, nie widzi szczytów w blaskach słońca, ani w cieniach mgły.

W przeddzień wyjazdu pisze Karłowicz: „Wydaje mi się wycieczka moja marzeniem sennem: zdaje mi się, żem bujał w przestworzu, gdzie wiecznie słońce świeciło, gdzie nie dochodziły dźwięki mowy ludzkiej, gdzie zapominałem o moich nadziejach, rojeniach na przyszłość i o namiętnościach, co duszą człowieka miotają. Smutno mi się robi, gdyż widzę, że te urocze chwile do przeszłości zaliczyć muszę, że to wszystko było i przebrzmiało, zostawiając tylko w duszy oddźwięk tych dni świetlanych... Czy wrócę tam kiedy jeszcze? Jeżeli los ślepy pchnie łódź moją w tę stronę, będę może tam jeszcze. Lecz któż zaręczy, że będę wówczas mógł odczuwać piękno tak, jak je dzisiaj odczuwam i że nieubłagane koleje życiowe nie zatrą we mnie tego uczucia estetycznego, zamieniając je w martwą obojętność?“.

Minęły lata. Z chłopca marzyciela wyrósł mąż dojrzały, dla sztuki poświęcający swoje życie i obierający ją za swój cel.

Po odbyciu studjów teoretycznych w Warszawie, Lipsku i Berlinie, poświęca się Karłowicz oryginalnym kompozycjom, w których szczególną wagę oddaje koncertowi i poematom symfonicznym.

Już pierwsze owoce jego pracy zyskują oklask Warszawy, Wiednia i Berlina. Jako dwudziestokilkoletni kompozytor, wyniesiony przez krytyków i publiczność na czoło ówczesnych kompozytorów polskich, pracuje na tem polu, a praca jego wydaje dość obfity i wielkiego znaczenia plon. Za tęż pracę mianowany zostaje przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne na swego dyrektora. Odtąd z najszczerszym zapałem pracuje nad rozwojem szkoły muzycznej.

W swoich utworach muzycznych umiał Karłowicz umiejętnie

pogodzić teorje muzyki klasycznej i romantycznej z wymogami ówczesnej muzyki modernistycznej Niemiec, to też uważa się go za jednego z twórców szkoły symfonicznej.

Nie cofnął się przed ciężkiemi kolejami losu i znowu, po latach wielu przybył do swoich Tatr ukochanych.

Tatry były dla niego, jak sam wyznał, jednem z ogniw, wiążących i godzących go z życiem.

„Jakaś tajemnicza olbrzymia dłoń, wyciąga się do mnie z wyżyn górskich, chwyta i porywa z sobą“ — mówił Karłowicz.

Chciał znaleźć w górach spokój i ukojenie. I znalazł je wkrótce. Z jednej z wędrówek swoich nie wrócił żywy.

Jako kompozytor, pozostawił Karłowicz po sobie szereg oryginalnych i na wysokim poziomie artystycznym postawionych utworów muzycznych: „Per aspera“, „Odroczenie“ — symfonje, „Biała gołąbka“, „Powracająca fala“, „Stanisław i Anna Oświęcimowie“, „Trzy odwieczne pieśni“ — poematy symfoniczne, „Smutna opowieść“ — rapsodja litewska. Oprócz tego szereg przecudnych pieśni: „Na śniegu“, „Zawód“, „Pamiętam ciche, jasne, złote dnie“ i w. i., oraz nieskończony utwór symfoniczny: „Dramat na maskaradzie“.

Jako literat zostawił „Niewydane pamiątki po Chopinie“, które zasługują na szczególną uwagę. Odrębny dział w twórczości literackiej Karłowicza stanowią opisy wycieczek tatrzańskich, pełne czaru wzruszeń, w których przebija się zachwyt, wypływający z głębokiego zrozumienia piękna i mocy przyrody tatrzańskiej. Najpiękniejsze z nich: „Po młodym śniegu“, „Rohacze“, „Ze śniegów tatrzańskich“.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zabrały Tatry muzyka, literata i śmiałego taternika, który ukochał je niezmiernie... Zabrały go nazawsze, chcąc powetować godziny rozłąki, gdy wyrzekał się górskich wycieczek, na prośby swej matki...

Zabrały, gdyż i nie uważały go za swego syna, i pogrzebały wśród szczytów swoich w ziemi, po której stąpał, wspinając się „nad poziomy“, aby szukać piękna.

I zaiste nie wszystek umarł: Gdyby nawet niezmożone, rozhukane wichry obaliły blok z wyrytem jego nazwiskiem, to przecież zawsze z każdego rozdrganego akordu, z każdego tonu melodji jego pieśni, wypłynie melancholji, zadumań pełna, rozhukana, jak dziecko, tęskniaca za dobrem i pięknem, postać Mieczysława Karłowicza:

B. Poniatowska.

KRZEMIENIEC DAWNIEJ a DZIŚ.

„..... pomiędzy gór szczytem
Piękne, rodzinne miasto, wieżami wytryska
Z doliny, wązkim nieba nakrytej błękitem.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne, miastu panująca cieniem.
(Słowacki „Godzina myśli".)

W ogólnej więc charakterystyce nic się nie zmienił Krzemieniec w przeciągu stu kilkudziesięciu lat. Wejdźmy jednak do miasta i porównajmy je z dawnem, z czasów niemal że Czackiego. Porównania tego można dokonać na podstawie wspomnień ucznia 1-szej klasy Liceum z roku 1824.

Główny trakt, idący z Warszawy i Lublina, którym wjeżdżało się do Krzemieńca, prowadził przez most Królewski na Ikwie. W odległości kilometra od miasta, wzdłuż wspomnianej już drogi ciągnęła się t. zw. „Maćkowa dolina". Wschodnia jej strona otoczona była górami najeżonemi odłamami skał — były to „Góry Dziewicze", od zachodu okalały ją niższe wzgórza o łagodniejszych zboczach, do których tuliły się ubogie chaty wieśniacze. W miarę zbliżania się dalszego do miasta, odległość między górami malała znacznie i tworzył się przez to jar głęboki przechodzący potem znowu w dolinę. Z tego więc opisu można przypuszczać, iż przestrzeń, mniej więcej od drogi dubieńskiej do browaru Martinka nosiła dawniej miano „Maćkowej doliny", Była ona terenem gier i zabaw młodzieży licealnej, a szczególniej zawzięcie uprawiano na niej palanta.

Od kościoła i klasztoru Bazyljanów, t. j. od dzisiejszego se-

minarjum prawosławnego, zaczynało się „prawdziwe“ miasto. Domy były już budowane szeregiem wzdłuż ulicy i wówczas zwanej Szeroką. Między kościołem Franciszkańskim, teraźniejszym soborem, a kościołem licealnym i domami „Bliźniaczemi“ w miejscu, gdzie dzisiaj jest mały skwer znajdował się rynek. W pobliżu miała być cerkiewka, ale trudno sobie wyobrazić dzisiaj, gdzie ona stała. Licealna i dawniej taką nazwę nosiła, wygląd jej też pewnie nie uległ wielkiej zmianie, gdyż prawa jej strona zawsze otoczona była murem, poza którym wówczas znajdowała się Szkoła mechaników — obecne gimnazjum i seminarjum.

Nad całem miastem górował oczywiście zawsze kompleks gmachów licealnych, które jednak w owych czasach były nieco mniejsze, ponieważ nie istniało jeszcze skrzydło, w którem się teraz mieści zarząd, a także znacznie później została dobudowana ta część gimnazjum i seminarjum, która mieści gabinety biologiczny, fizyczny, chemiczny i salę gimnastyczną żeńską. Budynek zaczynał się wtedy od tego miejsca, w którem jest umieszczona kancelarja gimnazjum i seminarjum. Kościół i wirydażyk przed nim, dotąd pozostały bez zmiany, z tą tylko różnicą, że dawniej do wejścia głównego prowadziły kamienne schody z obu stron, a nie tylko od prawej strony, jak dzisiaj. Na tym wirydażyku odbywały się lekcje i popisy fechtunku, którego uczył specjalny fechmistrz.

W wieżach kościelnych umieszczone były dzwony; jeden z nich, rozbity całkiem, zwoływał żmłodzie do szkoły i gdy donośny, ale brzęczący głos jego odezwał się nie o zwykłej porze,— wiedziano w mieście, że w Liceum coś ważnego się stało.

Mówiąc już o dzwonach, zajrzyjmy przy sposobności i do wnętrza kościoła, którego opisu coprawda nie posiadamy, za wyjątkiem tylko krótkiej wzmianki, iż główny ołtarz, który dziś jest bogato złocony, dawniej był skromnie wykończonym szarym ołtarzem cedrowym.

We wspomnianych pamiętnikach znajduje się zato szczegółowy plan rozlokowania uczniów szkół krzemienieckich i publiczności podczas nabożeństw. Tak więc — starzy przyjaciele i protektorowie szkoły zasiadali w ławkach przy samem wejściu.

Rodzice kształcącej się młodzieży i rodziny profesorskie zajmowały ławki, znajdujące się po obu stronach nawy głównej. Dalej — pod amboną i naprzeciwko niej siadywały zawsze wychowanki dwóch tutejszych żeńskich zakładów. Na środku kościoła, bliżej ołtarza, ustawione były dwa rzędy krzeseł dla profesorów i urzędników licealnych. Ustawione miejsca koło bocznych ołtarzy były już tradycyjnie zajmowane przez wysłużonych emerytów i byłych przełożonych zakładów szkolnych. A wkońcu wolne miejsca przed prezbiterjum i w przerwach między rzędami ławek były na stale zarezerwowane dla uczniów klas i kursów.

Krzemieniec posiadał dawniej jeszcze jeden kościół — był to kościołek O. O. Trynitarzy, który potem został własnością prywatną, a wkońcu zamieniono go na magazyn wojskowy. Sądząc z nazwy, ten dom boży powinien się był znajdować na ulicy trynitarskiej. I rzeczywiście dzisiejszy, murowany, żółty dom, stojący po prawej stronie ulicy jest dawnym kościołem. (Naprzeciwko posesji ś. p. dr. Majewskiego).

Nadmienić jeszcze można, że tradycja krzemieńczan przechowała, iż matka Słowackiego tam najczęściej na Mszę św. chodziła, co nie może odpowiadać prawdzie historycznej, bo O. O. Trynitarze, którzy do Krzemieńca przenieśli się z Szumbaru w 1762 r., w roku 1791 wrócili do Szumbaru z powrotem i tam przebywali do kasaty klasztoru w 1832 r.

Szkoły licealne składały się dawniej z 4-letniego gimnazjum i trzechletnich kursów. Kursy mieściły się po tej stronie budynku, gdzie dziś mieści się internat męski, gimnazjum zaś w obecnej szkole ćwiczeń. Największą salą, w której odbywały się szkolne uroczystości i doroczne egzamina, była sala fizyczna, mieszcząca się na drugim końcu gmachu kursów. Dziś są tam sypialnie internatu męskiego (pokoje № 35, 36 i 37), znajdujące się nad salą Kolumnową i bibljoteczną. Sala Kolumnowa stanowiła wtedy całość z teraźniejszą bibljoteką, tworząc łącznie jeszcze z paroma salkami na górze, Bibljotekę Liceum.

Boiskiem sportowem dawnej młodzieży było podwórze, otoczone szkołą mechaników i ówczesnem gimnazjum. Był to

Polskie Towarzystwo Turystyczne Krajoznawcze
WARSZAWA
Centrala publiczna

t. zw. Karuzel, na którym przedewszystkiem odbywały się ćwiczenia i popisy konne. Tyle tylko, niestety, mówi nam ów pierwszoklasista o Krzemieńcu i Liceum. Pozatem można dodać, że o ile chodzi o charakter ogólny samego miasta, to z pewnością przedstawiał on się jednoliciej, gdyż obrzydliwe, rosyjskie kamienice nie psuły jeszcze powszechnej harmońji, jaka panowała między pięknem otoczeniem a bielonemi dworkami o gankach z filarkami i spadzistych dachach.

Miejsce dzisiejszych hoteli o pretensjonalnych lub przypominających nam czasy rosyjskiego panowania nazwach, jak np. hotel „Rosja" i „Pietrogradzki", przerobiony na „Petersburski", zajmowały żydowskie zajazdy, budowane jeszcze pewno na wzór owej starej karczmy z „Pana Tadeusza".

Władysław Mróz.

GDY SIĘ MÓWI o OCHRONIE PRZYRODY i ZABYTKÓW.

W ostatnich szczególnie czasach często się mówi w Polsce o ochronie przyrody i konserwacji zabytków. Dużo miejsca zajmują te tematy w prasie codziennej, w czasopismach dla młodzieży, w wydawnictwach fachowych a nawet w pisemkach szkolnych. Ruch ten w Polsce, jako kraju zabranym kiedyś przez najeźdźców, gdzie wszystko się niszczyło, co tylko przywodziło myśl o polskości, nie przepuszczając nawet przyrodzie, budzi obecnie duże zainteresowanie, pociąga za sobą starych i młodych. Widziałem, z jaką ciekawością oglądali nasi najmłodsi dodatek do „Orlego Lotu", przedstawiający żubry, z jakiem zainteresowaniem czytali o powrocie tych królewskich zwierząt do puszczy Białowieskiej. Odżyła prastara puszcza, odzyskała swój urok... Niejeden rwie się w tamte strony, aby nasycić oczy i ucieszyć serce jej widokiem.

Wiele jest miejsc w Polsce, posiadających, podobnie jak puszcza Białowieska, swój specyficzny czar, którym oddziaływują na duszę ludzką, szczególnie zaś na duszę taką, która szuka w przyrodzie oparcia i ukojenia... Do miejsc tych należą i nasze

kochane Ateny Wołyńskie, położone między górami, które je chronią, niejako, przed gwarem światowym.

Prawdziwą ozdobą Krzemieńca są niezaprzeczenie Skały Dziewicze, najmniej może poznane przez naszą młodzież, bo leżą nieco dalej, niż inne góry krzemienieckie. A jednak poznać je warto, a poznawszy — ukochać gorąco. Przeglądane codzień przez nas niepozorne głazy, gdy się do nich zbliżymy, zamieniają się na potężne bloki; rysujące się ledwie z oddali ciemne linje przeobrażają się w obszerne groty, kręte ulice i zaułki, w których zabłądzić nietrudno; wątłe patyczki zapałczane wyrastają na śmigłe brzozy, rosnące na urwiskach i na iwy, rozsiewające miodny zapach puszystem pąkowiem.

Skały Dziewicze mają swoje życie, tętniące sokami, mają swój urok przyciągający każdego, kto je bliżej pozna... Tutaj właśnie można przeżyć chwilę „życiem tej świętej ziemi". Skały powinny też być otaczane opieką przez nas młodych i przez starsze społeczeństwo krzemienieckie:

A jednak — czyż tak jest? — W jesieni ub. r. rozlegają się w tej świątyni powagi i ciszy strzały dynamitowe, a potężne bloki i ściany skalne walą się zdruzgotane na ziemię. Oto ludzie, którzy wszystko potrafią zamienić na brzęczącą mamonę, uczynili z nich źródło dochodu. — Pocóż się trudzić zbytecznie, poco jeździć do odleglejszych miejsc po kamień budulcowy, kiedy tu można go nabyć tanim kosztem, i to w doskonałym gatunku, czego dowodzi fakt, że już przez tyle lat Skały sterczą nienaruszone żadnemi wpływami... Jakież niezrozumienie natury przez człowieka! Ginie wielka ozdoba Krzemieńca, owiana legendą o klasztorze dziewic, od którego wzięła swą nazwę... Ginie pod oskardami bezmyślnych, czy też złych ludzi. Wprawdzie Koło nasze zawiadomiło o tem starostwo krzemienieckie, wstrzymano narazie tę szkodliwą akcję, ale jak będzie dalej?.. Podobnie rzecz się ma z kopaniem piasku na wzgórzach, położonych za parkiem licealnym. Bez profanacji natury możnaby taki sam piasek kopać za miastem przy szosie szumskiej, gdzie ta akcja jest już zapoczątkowana. Wspomniane wzgórza zostały już poczęści ogołocone z drzew i świecą żywemi ranami. Wiatr, który dawniej przynosił stamtąd zapach kwiatów i chłód z pod drzew, zasypuje dziś

przechodniowi oczy suchym piaskiem i wywala podkopane drzewa do jarów. Będąc w dniu 23/III-b. r. na wycieczce z chłopcami ze szkoły ćwiczeń, widziałem piękną, wyniosłą brzozę, która za kilkanaście dni miała wrócić z budzącą się wiosną do życia, leżącą na dnie jaru. Innym, jej towarzyszkom, grozi wkrótce to samo — zwisają już korzeniami nad brzegami przepaści!

Jak powszechnie wiadomo, z pośród wielu innych drzew, lipa jest bardzo pięknym składnikiem polskiego krajobrazu. Nic też dziwnego, że tak była lubianą i chronioną w dawnej Polsce. Z lipą spotykamy się bardzo często w dawnej pieśni ludowej, w poezji lirycznej stanowiła ona niekiedy główny motyw. Znane nam są te piosenki prześliczne, wspominające o zielonej lipce, rosnącej z tamtej strony jeziora albo o skrzypkach sporządzonych z jej drzewa, zdolnych wyśpiewać całą ludzką tęsknotę za szczęściem, ból i troskę codziennego życia w pogoni za chlebem powszednim... W cieniu starej lipy tworzył poezje wysnute z serca Jan Kochanowski, szumiała ona nad dachem rodzinnego domu, naszego Julka Słowackiego tu w Krzemieńcu... Dawny Krzemieniec, jako miasto typowo polskie, mógł się szczycić temi pięknemi drzewami. Na starych sztychach, przedstawiających Krzemieniec widzimy zawsze obok strzelistych topoli lipy, otaczające małe dworki z gankami, wspartemi na dwóch kolumienkach. Obecnie drzew tych jest w Krzemieńcu bardzo mało, a i te, które się jeszcze ostały przed siekierą, mogą prędko wyginąć, gdy nie otoczymy ich należytą opieką. Przypomina mi się w tej chwili rząd starych lip, znajdujących się jeszcze przed kilkoma laty na Osowicy przy drodze, prowadzącej w kierunku północnym. Lipy te, jak mówi tradycja, zostały posadzone na pamiątkę pobytu w Krzemieńcu ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta w 1781 roku. Dziś widzimy zachowane z nich jedynie dwa ostatnie okazy. Pole, na którem rosną, jest już orane, zachodzi więc obawa, że i te dwa ostatnie pamiątkowe drzewa zostaną ścięte, gdy właściciel ziemi uzna, że są mu one zawadą w obrabianiu roli. Należałoby również zaopiekować się starą lipą przy ulicy Bojarskiej, u stóp której znajduje się kamienny ołtarzyk, a nieco dalej krzyż na grobie legendarnego rycerza, który zginął w czasie napadu Tatarów na zamek.

Wygląd Krzemieńca zmienia się coraz bardziej na niekorzyść. Na miejscu starych charakterystycznych domków, krytych czerwoną dachówką lub gontem, wyrastają budki, klecone naprędce z desek, albo kamienice w moskiewskim stylu, pomalowane na żółto. Niedość na tem: tam, gdzie jeszcze niedawno istniały pomniki, owiane kultem ludności, dziś jest ruina i zniszczenie wskutek obojętności obywatelstwa i władz. Wystarczy wspomnieć o dwóch figurach, stojących naprzeciwko siebie po obydwu stronach ulicy na Wiśniowieckiej Rogatce, gdzie się dawniej kończyło miasto. Pisząc „figury", popełniam nieścisłość, gdyż niema już ich tam dzisiaj, a o tem, że kiedyś istniały, świadczą dwa piękne cokoły z piaskowca. Przypatrzywszy się uważnie czworograniastym cokołom, możemy dostrzec zarośnięte mchem i zalane wapnem napisy. Na lewym cokole wyczytamy: „Zdrowaś Maria łaskiś pełna, Królowa Królestwa Polskiego", na prawym zaś: St. Stanisław Kostka. Oto jest jasna odpowiedź, jakie figury wznosiły się na powyższych cokołach... Nieraz próbowałem rozwiązać zagadkę, gdzie się mogły podziać statuy Najświętszej Marji i Świętego Stanisławawa, ale napróżno. Gdym słyszał i czytał w pamiętnikach o zniszczeniu przez Moskali w sposób barbarzyński figury Matki Boskiej (jak niektórzy mówią-Marji Magdaleny) na górze Czerczy w roku 1862, nasuwały mi się myśli i o tych figurach. Po zastanowieniu się dochodziłem jednak do zdania, że podobny fakt nie mógł zajść tutaj, w mieście, gdyż ludność tak katolicka jak i prawosławna, mająca matkę Boską w niezmiernej czci, niedopuściłaby do tego. Dziś kwestja ta jest już dla mnie rozwiązana. Wiadomości pochodzą od p. Malinowskiej, w ogródku której znajdowała się jedna z figur i od p. Szeremeta Michała, dorożkarza, mieszkającego w pobliżu, mających już po 70 przeszło lat. Oto jak było:

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy na porządku dziennym był knut i Sybir, Moskale chcąc zatrzeć wszelkie ślady polskości w tej „rdzennie rosyjskiej ziemi", wzięli się do niszczenia pamiątek i pomników, nie przepuszczając nawet figurom świętych. Po zniszczeniu figury M. B. na górze Czerczy przyszła kolej na te dwie omawiane figury, tembardziej, że były zaopatrzone w napisy, wspominające o Polsce. Ale nie doczekali

się tego barbarzyńcy.

Oto mieszczanie, niechcąc dopuścić do tego ohydnego czynu, zdjęli obydwie figury z cokołów w nocy i wywieźli na cmentarz, o czem wiedzieli tylko wtajemniczeni. Rano Moskale przyszedłszy, aby zburzyć figury, nie zastali ich już na dawnych miejscach, co wzbudziło w nich zdumienie i przestrach.

Chcąc się przekonać o prawdziwości powyższego podania, robiłem poszukiwania na cmentarzach krzemienieckich, które mi dały pozytywne wyniki. Oto na cmentarzu tunickim odnalazłem przepiękną figurę św. Stanisława, a na bazyljańskim niemniej piękną figurę Matki Boskiej, obydwie przysypane już w znacznej części ziemią i obrośnięte zielskiem.

Jakież kroki poczyniono dziś w wolnej Polsce, aby sprawiedliwości stało się zadość? Czy postarał się kto, aby figura Orędowniczki naszej Ojczyzny, usunięta wskutek prześladowań i terroru, błogosławiła znowu Krzemieniec z dawnego miejsca? Niestety! - Na cokołach, gdzie stały dawniej statuy Matki Boskiej i św. Stanisława, znajdują się dziś dwie... latarnie (!) umieszczone tam w zeszłym roku, przez magistrat.

Jakież był powód umieszczenia lamp naftowych, gdy miasto jest oświetlone elektrycznością? Rozwiązanie znaleźć nietrudno— postawiono je tam chyba poto, aby, gdy kto popatrzy na stare typowe cokoły, zobaczył, że figurują na nich dwie świeżo sklecone latarnie — graty bez użytku...

Czy nie dobrzeby było, aby gdy nastanie miesiąc maj, poświęcony M. B. znalazły się na swoich starych miejscach figury Królowej Korony Polskiej i św. Stanisława?...

Młodzieży! Dbajmy o wygląd Krzemieńca, nie dopuśćmy, aby zatracił się jego dawny, tak miły charakter, miejmy pieczę nad jego przyrodą, przez którą tak hojnie został obdarzony, szanujmy jego pamiątki, poznawajmy go gruntownie i kochajmy coraz bardziej!

———⊙⊙⊙⊙———

Józef Dikształjn.

FRAGMENTY z WYCIECZKI „KOŁA PEDAGOGICZNEGO" DO LWOWA.

Wycieczka! Wycieczka!—darła się w niebogłosy rozczochrana, wywijająca na lewej pięcie Marylka, a z wywijasów i impetu, z jakim wleciała do klasy, można było przypuszczać, iż tym razem nie „nabierała".

—Kto powiedział? Dokąd? Kiedy? Jak? Co?—padły chóralne pytania otaczających zwiastunkę zwartem kołem ciekawskich, a ona, jak słonecznik, licem wielkiem, gorejącem, kręciła z północy na południe za. . . Mietkiem, współposiadaczem tajemnicy. Natychmiast przypuszczono szturm w kierunku najmniejszego oporu, t. j. wspomnianego koleżki i tak przyciśnięto go do muru, iż wylazł na ławę i odchrząknąwszy, z powagą wygłosił: — „Jedziemy zobaczyć ślepych, głuchych i matołkowatych, jakkolwiek ten ostatni gatunek możnaby z powodzeniem obserwować na miejscu".

Niewiem, coby się stało z odważnym oratorem, gdyby nie wejście Pani Opiekunki Koła, która podała do wiadomości, iż naprawdę jedziemy do Lwowa, w celu zwiedzenia zakładu dla głuchoniemych, niewidomych i niedorozwiniętych.

Sekretarz Koła Pedagogicznego powiadał mi później, iż podałby się bez wahania do dymisji, gdyby, broń Boże, miała być jeszcze jaka wycieczka, ręce go bowiem bolały od pisania protokółów z zebrań Koła, na których wygłaszano referaty o niewidomych, głuchoniemych i niedorozwiniętych, oraz omawiano sprawy organizacyjne, związane z wycieczką.

Dnia 19 grudnia nieśliśmy na dworzec naładowane wiedzą, sposobem powyżej wskazanym, głowy daltońskie.

Tu, czuję, że byłoby miejsce na opis lokomotywy, buchającej parą i skrami, dworca, podobnego do kurnika, czerwonej czapki zawiadowcy stacji, szyn, wagonów i t. p., lecz spróbuję być oryginalnym i zacznę od czasu, kiedy wszyscy uczestnicy wycieczki

rozlokowawszy się w wagonie, po kresowemu poczęli sprzedawać piosenkę po piosence.

Koła leniwie sunącego pociągu przytakiwały: tak, — tak, tak, — tak, tak, — tak. Koła wagonu wiedzą, co to jednostajność: dzień w dzień w tym samym rytmie przebywają określoną przestrzeń, to też zrozumiały, iż chętnie porzuciliśmy na dni parę ukochaną zresztą szkołę, książki, przydziały, pióra, wszystko, co pachnie „wkuwaniem się", aby zobaczyć inny kątek pełnego ciągle nowości świata, innych ludzi i nowe rzeczy.

Tymczasem krótki dzień grudniowy ustępował miejsca czarnej swej siostrze, nocy. Ostatnie promienie słońca ślizgały się po igiełkach sosen przydrożnych, na polach ledwie przyproszonych załamywały się w kryształkach śniegu barwami topazu, szafiru, rubinu, na niebie szklistem nęciły oko różowo—ogniste obłoczki, sunące poważnie za słońcem. „Bona" ostatni raz ukazała się na horyzoncie, zasunęła się za łańcuch innych gór i znikła. Mrok zwolna wyłowił resztę światła, otulił swą chustą powiewną, poukładaną w fałdy misterne, ziemię i na jej tle haftował niebo kłębami dymu i snopami skier ognistych.

Nazajutrz zrana obudziłem się w salce, w której poprzedniego dnia uprzejmi koledzy z Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego nas ulokowali. Czułem się rzeźki i zdrów, tak samo koledzy, choć obawialiśmy się poprzednio, że się pochorujemy masowo, zwieczora bowiem kolega, który nam miejsce wypoczynku pokazał, nieomieszkał dodać, że jest to salka dla chorych z internatu, wyjątkowo dziś wolna.

Po śniadaniu zwiedziliśmy zakład dla głuchoniemych: szkołę i internat. Pierwsze wrażenie było bardzo przykre. Wyobraźmy sobie izbę szkolną, w której ławki są poustawiane w półkole, aby każde z dzieci widziało nauczyciela, obrazy, i lustro na ścianie. Słychać uderzenie w stół linją, co ma oznaczać: baczność! Dzieci patrzą na nauczyciela, ten zaś wymawia jakiś wyraz, a dzieci po kolei go powtarzają. Jakież to przykre głosy, jakgdyby wydobywały się z beczki! Nigdy nie zapomnę sposobu wypowiadania słowa „paw". Nauczyciel, po uprzedniem pokazaniu obrazka, wymówił to słowo, poczem powtarzały je dzieci. Słychać długie,

dzikie, nienaturalne krzyki „peaw!“ lub krótki gardłowy szept „p e w“.

Nic dziwnego, że program takiej szkoły jest o wiele niższy od programu szkoły powszechnej. W piątej klasie byłem obecny na lekcji rachunków. Daje się tu zauważyć ogromną trudność wypowiadania się, a nawet trudność porozumienia się ucznia z nauczycielem, to też całkiem łatwe zadania są rozwiązywane w przeciągu całej godziny. W porównaniu z pracą nauczycieli tej szkoły, praca nasza przyszła z dziećmi normalnemi, zdrowemi i zadowolonemi z życia, wydaje nam się bardzo wdzięczną. Żal i współczucie dla nieszczęśliwych bliźnich i wdzięczność dla nauczycieli, wypełniały nasze serca, gdyśmy zakład opuszczali.

Panorama Racławicka... Pocoż ta barjera? Pobiegłbym nadół tą ścieżką przez gąszcz krzaków, do brzóz smutnych, bielejących i nęcących przechodnia...

Konika białego, co z pustem biegł siodłem, co wzrokiem beznadziejnym dookoła wodził, szukając pana swego, powiódłbym, gdzie w krwi kałuży leży jego pan... Nie rżyj, nie budź go, twój pan ma spokój zasłużony, bo spełnił już swe powołanie. Nie rżyj, może w tej chwili pan twój stanął przed bramą wieczności aby za chwilę wejść do krainy, gdzie niema ani wyznań, ani narodów, ani języków, gdzie nie istnieją wojny, gdzie krew się nie leje, ani złości ludzkie nie sięgają..,

Tam nie potrzeba już ani chleba, ani uznania, ani łez, tam panuje wieczna harmonja: Miłość, Dobro i Piękno.

Pocóż ta baterja?... Skoczyłbym tam, gdzie zwalona chatka ubogiego kmiotka, nad którą wierzba roni łzy...

Nie płacz, kobieto: Zwalono ci chatę: Ach, zabito ci męża!... Nie płacz!... Patrz, oto krakusów łan barwny kosami w słońcu błyszczy. Widzieli twoją krzywdę, ze serc buchnął im żar świętej miłości, co czynem się wypowie — pomszczą cię! Patrz, już na armaty lecą jak huragan, a Bartosz na przedzie. Hej, na armaty lecą! Już Bartosz nakrył panewkę czapką, nie wystrzeli armata!.. Wiwat zuchy! ależ kropią! — wzięli; Uciekajcie, gałgany; Tamten w rów skacze... Ha, skacz choć na dno przepaści—

i tam cię dosięże sprawiedliwości ręka;—Czy on jednak winien? Widziałem, jak łzy ronił, gdy żegnał się z żoną i z synkiem trzechletnim... — Nie on winien. To cary ich gnali na zbrodnię i krzywdy, to cary, którym krajów brak, co sławy pragną pustej... Niema tu ciebie, coś ich tu wysłał na cierpienie i śmierć, ty tam w stolicy siedzisz dalekiej i pilnujesz zazdrośnie swego tronu...

Niebo czyste i jasne, przykrywa zbrodnie, zgliszcza i łzy...

— — — — — — — — — — — — — —

Powiadają ludzie, że niema złego bez dobrego — i prawdopodobnie słusznie n. p. kupują ubranie-materjał lichy, ale zato podszewka doskonała, podają skąpe obiady-nie utyją i t. p. Jednakże nie jest pozbawione słuszności twierdzenie odwrotne: niema dobrego bez złego. Dowodem niech będzie przytoczony poniżej przypadek. Po zwiedzeniu „Panoramy Racławickiej kroczymy wszyscy w najlepszych humorach; wszyscy, to znaczy nasi przełożeni i my, szary tłum, branża sztubacka. Idziemy na obiad. Jadalna znajdowała się w krainie Hadesu, poniżej parteru, a droga do niej prowadziła przez kręte schodki.

Gdy przybyłem szczęśliwie przed jadalnię, zauważyłem, że Pani Opiekunka, otoczona koleżankami, usiłuje przy ich pomocy zdjąć bucik z nogi, a z ust do ust przelatują wieści,: Pani poślizgnęła się na schodach i zwichnęła nogę.

Wieczorem tego dnia byliśmy na raucie, urządzonym przez uczenice Pierwszego Państwowego Seminarjum Żeńskiego. Bardzo miło ubiegły nam chwile, spędzone w towarzystwie gościnnych nadzwyczaj koleżanek — Lwowianek. Po godzinie zdawało nam się, że się już od wielu lat znamy nawzajem. Ze szczerym żalem opuszczaliśmy Seminarjum i udawaliśmy się do teatru, gdzie wystawiano operetkę Paganiniego. Widziałem, że niektórym kolegom trudno było zwrócić uwagę na operetkę, gdyż, jak przypuszczałem, a oni sami potem potwierdzili, stały im ciągle przed oczyma miłe twarze seminarzystek lwowskich.

Nazajutrz zrana zwiedziliśmy zakład dla niedorozwiniętych. Już na korytarzu spotkałem dzieci z apatycznem spojrzeniem i otwartemi ustami, lub też z dziwnym wyrazem twarzy. Podzieleni na grupy, zwiedziliśmy kolejno klasy. Szalenie trudna i nie

wdzięczna jest praca nauczyciela w tej szkole, dzieci bowiem, szczególnie w I-szym oddziale, zachowują się niemożliwie i zapominają nazajutrz to, czego się poprzedniego dnia nauczyły. W oddziale I-szym zaczyna się nauka codziennie od pogadanki o pogodzie i o dniach tygodnia. Dzieci nie zdają sobie sprawy jaki jest dzień dzisiaj, jaki był wczoraj i jaki będzie jutro.

Charakterystyczną była pogadanka o baranie, opisywanym na podstawie obrazka. Kilka odpowiedzi da nam obraz poziomu umysłowego dzieci. „Nogi barana są zakończone kolanem", „Baran łapie kury", „Ciało barana pokryte jest ogonem" i t. p. Rysunki, które potem były wykonywane przez dzieci, są aż nadto charakterystyczne. Tak n. p. ogon barana wyrasta z szyi i t. p.

Szkoła ta ma za zadanie przygotować jako tako dzieci do życia, umożliwić im wspólne życie z ludźmi normalnymi.

Najlepsze wrażenie wywarł na nas zakład dla niewidomych, który następnie zwiedzaliśmy. Uczą się w tym zakładzie dzieci niewidome od urodzenia, lub takie, które później wzrok utraciły. Utracony zmysł zastępuje im doskonale dotyk. Czytają i piszą biegle przy pomocy wypukło — kreskowanego alfabetu Braille'a już w pierwszym oddziale. Czytają i opowiadają powiastki, w których jest mowa o kształtach, barwach, świetle i o przedmiotach, których nigdy nie widziały. Ilustracje powiastek lepią z plasteliny, nieraz w sposób godny naprawdę podziwu. Poza przedmiotami, które przechodzi się zwykle w szkole powszechnej, uczą się muzyki i pracy fachowej, n. p. koszykarstwa i szczotkarstwa.

Po zwiedzeniu poszczególnych klas wysłuchaliśmy koncertu (organy, fortepjan, skrzypce, chór) nabyliśmy ich wyroby szczotkarskie i koszykarskie. P. Dyrektor zakładu udzielił nam bardzo ciekawych wiadomości o ociemniałych dzieciach.

Po południu zwiedziliśmy Muzeum Przemysłowe i byliśmy w kinie dźwiękowem, gdzie wyświetlano „Śpiewającego błazna". Film bardzo ciekawy i wzruszający, sąsiądki moje nawet się popłakały... Widzę i słyszę, ale... niebardzo rozumiem, mówią bowiem i śpiewają w języku angielskim.

Tejże nocy wyruszyliśmy z powrotem do Krzemieńca. Długi wąż żelaznych cielsk pruł pola, lasy i łąki, pogrążone w mroku nocy. Skry ogniste, lecące w szalonym tańcu, kładły się w rowie lub na polu i gasły samotne, jak życie. Z czarnej otchłani wysuwał się zwolna pociąg w krainę szarawo-siną przedświtu. Wysuwały się ciemne kontury przydrożnych drzew i osiedli, a wreszcie niewyraźne zarysy gór krzemienieckich... Dojeżdżamy do stacji, świat nasyca się sinawą barwą prześwitu...

* * *

Wycieczka lwowska dała nam dużo materjału do rozważań psychologiczno — pedagogicznych, pogłębiła nasze poglądy na sprawę wychowania i nauczania. Dowiedzieliśmy się naprzykład, że niewidomi od urodzenia czują się zupełnie zadowoleni i szczęśliwi, tak jak i ludzie ze wszystkiemi zmysłami.

Władysław Rudnicki.

MŁODZIEŻ LICEALNA INTERESUJE SIĘ LUDEM.

W dużej sali szkolnej odbywa się zabawa ludowa. Bierze w niej udział miejscowa młodzież wiejska, oraz kilka koleżanek i kolegów z Liceum przybyłych na zaproszenie byłego kolegi, a obecnie nauczyciela.

Kolega — nauczyciel „niosąc przed narodem oświaty kaganiec", stara się jednocześnie o podniesienie cywilizacji, ogłady towarzyskiej i temu podobne rzeczy wśród ludu. Prosi więc przybyłych kolegów i koleżanki, aby wzięli udział w tańcach, oraz aby je poprowadzili. Coprawda do tańców nie potrzeba specjalnego zaproszenia, gdyż w takt rozstrojonego wiejskiego „jazzbandu" nogi nasze same się poruszały.

Zaczęła się zabawa. Kolega nasz donośnym głosem zarządza to kółeczko, koszyczek i t. p. wytwory ludzkiej fantazji, aż wreszcie zebrawszy tańczących w jedną kolumnę woła: „partagé!" W sali zaponowała cisza. Nikt z nas nie domyślił się co mogło

ją wywołać. Po chwili stojąc w końcu sali, słyszę między dwoma parobkami wiejskimi następującą rozmowę: „Dywy, dywy-pryichały z Kremiancia do naszoji szkoły, wiszły na naszu zabawu i bere pry wsich kryczyt' „partaczi". Jak umijemo tak i bude, ałe szczoby nas widrazu nazywaty partaczami, toho szcze nikoły ne buwało.*

Słowa te uderzyły mnie, a zarazem rozśmieszyły. Przystąpiłem do nich i powiedziałem im, że „partagé" znaczy po francusku „podzielić się" ale nikt ich partaczami nie myślał nawet nazywać. Po chwili czy to na skutek jakiejś indukcji, czy dobrego charakteru i sprawności języków, cała sala o tem wiedziała, to też zapanował znów wesoły i swobodny nastrój.

Laura.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

W styczniu odegraliśmy kilkakrotnie „Betleem Polskie" Rydla. W pamięci utrwaliło nam się wiele momentów, na wspomnienie których śmiejemy się teraz, a które przecież w okresie naszych przedstawień przyprawiały grających o rozpacz nawet, a to dzięki ogólnemu podnieceniu i podenerwowaniu. Przedstawię tu z wiernością historyczną jeden z naszych dni przedstawień. Zaczynamy ten dzień od samego rana pod hasłem przedstawienia. Nie omieszkam na wstępie zaznaczyć, że w dniu tym korzystałyśmy z wszelkich możliwych przywilejów w naszym internacie—zwolnione byłyśmy od dyżurów w kuchni, sala nie musiała być, jak zwykle, z minjaturową dokładnością, sprzątniętą i t. p., wszystko to bowiem mogłyśmy wytłomaczyć naturalnie brakiem czasu.

Na dwie godziny przed przedstawieniem zaczyna się naprawdę ruch. Wiele jeszcze braków trzeba uzupełnić i to w szybkiem tempie. I tak, któryś z aniołów niema szaty anielskiej, Matce Boskiej brakuje welonu na głowę, p. Herodowej pantofli

*) Patrz-no, patrz. przyjechali z Krzemieńca do naszej szkoły, przyszli na naszą zabawę i przy wszystkich krzyczą „partacze". Jak umiemy tak i będzie, ale żeby nas odrazu nazywać partaczami, tego jeszcze nigdy nie bywało.

królewskich! wiele innych niedociągnięć mamy w tym rodzaju. Tu miałyśmy spobność przekonać, się że w takiem podnieceniu i zwykły śmiertelnik zdolny jest do nadzwyczajnych wynalazków i pomysłów. A więc w ciągu jednej sekundy, z prześcieradła i dwóch firaneczek od łóżka skombinowano przecudną szatę anielską, z ręcznika zaś okrycie głowy dla Matki Boskiej, a bujna wyobraźnia potrafiła zmienić zwyczajne pantofle nocne na wspaniałe, królewskie. Teraz widzimy jednego z aniołów, który przez nielitościwe przysmalanie włosów rurkami i nakładanie dubeltowej warstwy pudru usiłuje nadać swej murzyńskiej fizjognomji wyraz anielskości. — Niestety, bez powodzenia widocznie, bo podczas przedstawienia słyszymy, jak jedno z dzieci, zwrócone do matki, zapytuje: Dlaczego ten czarny djabełek przebrał się za aniołka i stanął w szopce koło Pana Jezusa? Na nic więc trudy i wysiłki niefortunnego anioła. W innym znowóż kącie Matka Boska ćwiczy się przed lustrem w przybieraniu boskich wyrazów twarzy. Wreszcie nadchodzi godzina rozpoczęcia przedstawienia. Pani Kunicka, nasza reżyserka, sama daje sygnał dzwonkiem, dają się słyszeć najpierw ciężkie westchnienia z za sceny a potem słowa: „W Imię Boże!“

Nastąpiła akcja aktu pierwszego, podczas której dawały się słyszeć od czasu do czasu uwagi i przypomnienia: Nie śmiej się!... Bo przecież śpisz! Nie odwracaj się tyłem do publiczności... Zrób przerażoną minę!...

Po pierwszym akcie następuje bezpośrednio „Krakowiak“. Już orkiestra gra pierwsze takty, a tu niema wszystkich tancerzy, bo jeden z nich, występujący w roli anioła, nie zdążył się jeszcze przeobrazić w krakowiaka. W jednej chwili zdecydowano, że będą tańczyć tylko trzy pary. Czwarty krakowiak nie dał jednakże za wygraną i w tej chwili wyskakuje na scenę z jednym wąsem, aby nie zepsuć całości.

Drugi akt wypadł zupełnie dobrze, tembardziej, że wszystkie luki między djalogami aktorów wypełnione były ciągle powtarzającym się z za kulis refrenem: Ach, znowuż dziura!“

Po drugim akcie miał miejsce mały wypadek w czasie antraktu, a mianowicie: Pan Twardowski tak był przejęty swoją

rolą, że o mało nie cisnął szklanką w orkiestrę, znajdującą się przed sceną. Na szczęście p. Dyrektor ochłodził jego zapały srogiem spojrzeniem, i szklanka wypadła mu z ręki na scenę.

Akt trzeci był bardzo obfity w wypadki, a nawet w katastrofy. Całe urwanie głowy było z ustawieniem dekoracyj, przedewszystkiem żywych, to znaczy: aniołów, Matki Boskiej i św. Józefa. Ale oto wszystko już ułożone, światła dobrane i t. p. Zaczyna się więc od składania darów przez pasterzy. Tłum ludzi pada przed żłobkiem na kolana... wtem z wielkim trzaskiem i hałasem, jak piorun pada na klęczących drzewo, umieszczone obok. Trudna to była sytuacja i ogromne napięcie. Kres temu położyła tajemnicza ręka, wysuwająca się z za sceny i wciągająca tam drzewo. Nastąpiły kolejne wyjścia i monologi poszczególnych osób. Niektóre z nich spóźniały się znacznie, wskutek czego zdawało się, że zrobiła się t. zw. „dziura", lecz winowajcy robili to w innym celu, a mianowicie dla wytworzenia napięcia ciekawości wśród publiczności.

Pomimo wszystko, akt trzeci był, zdaniem Widzów, najefektowniejszy. Po skończonem przedstawieniu wszyscy artyści rzucili się na zapomniany dotychczas syfon wody sodowej za kulisami i na cukierki.

Koniec wieńczy dzieło, a nasze zakończenie było bardzo... słodkie.

———⊙⊙⊙⊙———

B a z e t.

NIEDZIELA PRZEBACZENIA.

W związku z przedwielkanocnym postem, chcę opisać bardzo charakterystyczny zwyczaj zachowany przez rusinów. Zwyczaj ten był niegdyś bardzo rozpowszechniony na Wołyniu, dziś jest rzadkością i przez to nieznany szerszemu ogółowi. W rodzinach starych, pełnych powagi i religijności, obchodzą go bardzo uroczyście. Wieczorem zbiera się cała rodzina wspólnie. Śpiewają pieśni wielkanocne oraz smętne pieśni ludowe a w końcu następuje, najważniejszy akt. Całe rodzeństwo podchodzi do najstarszego wiekiem członka rodziny i prosi o przebaczenie. Pater

rodziny udziela imieniem Bożem każdemu po kolei przebaczenia, przytem daje każdemu coś na pamiątkę. Daje się przytem różne święte obrazki, książeczki do nabożeństwa, a dzieciom cukierki. Aktem tym kończy się ten dzień, zwany niedzielą przebaczenia (nedilja otpuszczalna)

Po zastanowieniu się nad tym zwyczajem przechodzimy do wniosku, że ten zwyczaj mógł zapewne powstać w początkach chrześcijaństwa na Wołyniu. Świątyń chrześcijańskich było wtedy mało, a lud do przetrwania wielkiego postu potrzebował otuchy i pokrzepienia serca. Ponieważ zaś czerpać tego z cerkiew nie mógł, bo ich było mało, więc radził sobie w wyżej opisany sposób. Zwyczaj ten wskazuje nam do jakiego stopnia byli kiedyś w poszanowaniu starsi, że nieraz nawet zastępowali kapłana.

Włodzimierz Danilczuk.

MYŚLI ZE WSI.

Mimo to, że większość czytelników „Widnokręgu", to „zakuci daltoniści," dla których poruszony tu temat dziś jest nieaktualny, a może nawet wzupełnie bezwartościowy, garść zebranych tu myśli wysyłam do Redakcji sądząc, że może uzna je za godne druku w naszem pisemku.

Przeznaczam to przedewszystkiem dla tych, którzy z końcem b. r. szkolnego opuszczą mury Liceum, aby się wziąć do pracy nauczycielskiej na wsi, gdzie nauczyciel z nazwy tylko jest nauczycielem. W rzeczywistości, gdy chce mieć poważniejsze rezultaty pracy, winien być wszystkiem odrazu. Jest on tą osobą, do której wieśniak udaje się z każdą sprawą, wierząc, że osoba „uczona" na wszystko znajdzie radę. W pierwszych latach pracy nauczycielskiej, gdy się jej nie chce zrozumieć, ta rola doradcy-jest dla nauczyciela bardzo ciężka. Jednakże, że „nie święci garnki lepią" tak i nauczyciel, pomału, zaczyna rozumieć życie i jego niedomagania a radą swą może się często przyczynić do polepszenia smutnego stanu rzeczy.

Dziś, stosunki na wsi do pomyślnych nie należą. Katastro-

falna zniżka cen zboża fatalnie odbiła się na całej gospodarce wsi. Ci, którzy wiekszych zapasów z ubiegłych lat nie posiadali, już teraz żyją w nędzy, a pomocy znikąd spodziewać się nie mogą. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, w jakim stanie znajduje się nasze rolnictwo, zwłaszcza u nas, na Wołyniu. Dochodu wielkiego z tego nigdy nie było, a tymczasem mimo to, brak jakiejkolwiek inicjatywy, zdążającej do zapewnienia naszemu rolnikowi stałego zarobku z zajęć, wykonywanych w wolnych od pracy na roli chwilach.

Rolnictwo pochłania zupełnie rolnikowi późną wiosnę, lato i część jesieni. Pozostały czas jest przez wieśniaka zupełnie zmarnowany, bo przecież dziś już rzadko się młoci cepem, lecz zastępuje go młocarnia i inne temu podobne narzędzia, które nie należą już do rzadkości Trzeba więc koniecznie dać wieśniakowi w ręce jakieś rzemiosło, któreby zatrudniało go w czasie słotnych dni później jesieni, mroźnej zimy i wczesnej wiosny.

Myślę tu o domowym przemyśle ludowym. Przyzwyczajeni jesteśmy zawsze wzór brać i iść śladem zagranicy. Na szczęście przykład tu będziemy mieć doskonały. Szwajcarja w 1907 r. na ogólną sumę eksportu 1153 miljonów franków, wywiozła wyrobów przemysłu ludowego na 637 miljonów franków. Niemcy, Francja, Belgja i Włochy — państwa, które mają już starą, wypróbowaną i zrównoważoną gospodarkę, czerpią wielkie dochody z tych rzeczy, na które się u nas wcale nie zwraca uwagi.

A warunki przecież ku temu mamy doskonałe. Lud nasz wyrabia bardzo często rzeczy naprawdę godne widzenia i polecenia swoim i obcym. Niechcąc, aby uważano to za ogólnik wypowiedziany dla wymiaru artykułu, wspomnę choćby o takich wyrobach drzewnych Hucułów i górali Zakopiańsdich, przepysznej w barwie i kompozycji, ornamentyce łowickiej i krakowskiej, o naszych wołyńskich haftach i wyszywankach, króre poprostu aż się proszą do tego, żeby je szerszemu dwiatu pokazać. Każda kraina ma u nas swoje obrębne i charakterystyczne wyroby ludowe o wysokim często poziomie artystycznym. Nawet to lekceważone przez wszystkich Polesie może godnie wystąpić z wyrobami z drzewa, koszykarkiemi i zabawkami drewnianemi, a specjalnie z temi ostatniemi Wileńszczyzna.

Nam specjalnie chodzi o Wołyń. Nie będę szczegółowo rozpisywał się o tem, co możnaby i co należałoby propogować na wsi Wołyńskiej, bo to mija się z celem niniejszego artykułu, który ma za zadanie zwrócić uwagę innych na to, według mnie dziś bardzo aktualne. zagadnienie. Robić można wiele rzeczy i żadną z nich, przy zorganizowanej odpowiednio pracy, nie przyniesie deficytu. Wspomnę tylko tu, kominijąc hafty i wyszywanki, których zastosowanie może być rozmaite, często w łącznośći z wyrobami o starem, zanikającem już garncarstwie, którego ostatnie może okaży są w naszych zbiorach.

Zdaje sobie też każdy doskonale sprawę z tego, że o ile sam pomysł jest dobry, droga prowadząca do jego urzeczywistnienia jest jeszcze długa i uciążliwa. Robota ta, aby mogła dać większą korzyść, musi też objąć większe obszary — musi więc oprzeć się na jakiejś organizacji, któraby nadawała jej stały kierunek, utrzymywała na wysokim poziomie i wyszukiwała rynki zbytu. Mojem zdaniem jest to najwdzięczniejszy temat pracy dla Kół Młodzieży Wiejskiej, których powiatowe związki powinny kierować tą akcją, uchwycie ją w swe ręce. Jednakże, jakaby to organizacja tem się nie zaopiekowała, nie obejdzie się tu bez nauczycielstwa. Nauczyciel, jako najlepiej znający lud i jego wewnątrze zasoby kulturalne, oraz wymogi dzisiejszego życia, będzie mógł jedno z drugich godzić, dostosowywać pierwsze drugiego. Jego zadaniem będzie przeprowadzić odpowiednią propagandę, zorganizować pracę na terenie swoje wsi, czuwać nod solidnością wykonania, starać się o pogłębianie wiedzy fachowej zainteresowanych, kierować sprzedażą i t. d., i t. d. Znając wieś, śmiało mogę rzec, że bez nauczyciela w dziedzinie tej nigdy się nie obejdzie.

Dlaczego koniecznie nauczyciel? Czy to ma jaki związek ze szkołą? Tak! Cała to robota w razie powodzenia dodatnio odbije się na szkole, stosunku wsi do niej, wzmocni znajdujące się w zarodku zaufanie wieśniaka do nauczyciela, otwierając mu przez to drogę do serc mieszkańców, co ułatwi mu jego pracę wychowawczą.

Opieka nauczyciela nad przemysłem ludowym zagwarantuje

korzyści jeszcze ważniejsze niż te, które skłoniły nas do zajęcia czynnego stanowiska wobec tej pracy. Odpowiednio kierowana praca ukształcić może charaktery, zmusi do zaniechania niezdrowych rozmyślań a skieruje całą energję w upatrzonym już, jednym kierunku. Wieśniak odczuje wtedy potrzebę oświaty, jej wielkie znaczenie i inaczej się będzie ustosunkowywał do zagadnień kulturalno — oświatowych na posiedzeniach rady gminnej czy innych instytucyj samorządowych. Od tej pracy przejść można do zorganizowania spółdz. handlowej i t. p.

Zastanowić się również musimy nad tem, czy dadzą się zorganizować korzystne rynki zbytu na wytwory ludowego przemysłu. Dotychczasowe próby organizacji przemysłu ludowego na większą poczynione skalę w wojew. krakowskiem dają odpowiedź twierdzącą. Naturalnie zrozumiałem jest, że liczyć musimy przedewszystkiem na zagranicę i tam odpowiednio rynki zbytu organizować.

Polska, zarówno jak jej mieszkańcy i ich wyroby, zagranicą nie są szerzej znane, co daje gwarancję, że przy użyciu odpowiedniej reklamy nastąpi większe zainteresowanie ze strony cudzoziemców. Od reklamy uzależniona jest możność zbytu*.

Wiadomem jest, jakie sukcesy odniosły eksponaty polskiego przemysłu ludowego na wystawie w Genewie w 1927 roku. Na następnej wystawie w Brnie (wystawa kultury współczesnej 1928 r.) był ogromny popyt na zabawki o charakterze ludowym, których przecież możemy dostarczyć w dużej ilości i w dobrej jakości. Chodzi tylko o to, aby odpowiednio zareklamować to, co mamy u siebie, a o rezultatach wątpić nie potrzeba. Zresztą przez pewien okres czasu zbyt możemy mieć i u siebie.

Jednakże z chwilą, gdy tyle energji mamy włożyć w pracę, zmierzającą do podniesienia dobrobytu naszego wieśniaka, z tem większą gorliwością musimy wziąć się do pracy wychowawczej nad dzieckiem, a jeszcze w większym stopniu nad jego rodzicami. Między niemi bowiem jest dużo takich, którzy i dziś nawet prze-

---

*) Artykuł o tem jak zorganizować reklamę przemysłu ludowego ukaże się później.

pijają ostatni, ciężko zarobiony grosz i na których nawet te tak „ciężkie czasy“ oddziałać na lepsze nie mogą.

Artykuł ten nie wyczerpuje całokształtu wspomnianego tu zagadnienia. Są to tylko luźne myśli patrzącego na życie wsi wołyńskiej, której dobrobyt jest dla nas dziś bardzo ważny. Jest to więc tylko mały przyczynek dla poznania wsi dla tych, którzy na wieś wnet pójdą i którzy się nią głębiej zainteresują.

SPRAWOZDANIE z DZIAŁALNOŚCI „KOŁA PEDAGOGICZNEGO“

za czas od dn. 4-X-1929 r. do dn. 4-III-1930 r.

Z inicjatywy p. prof. Kudlanki zostało w dniu 4-X-1929 r. na zebraniu organizacyjnem uczniów kursu V i IV powołane do życia „Koło Pedagogiczne“ z zarządem, składającym się z prezesa, sekretarza, skarbnika i opiekunki Koła p. prof. Kudlanki. Celem Koła jest przygotowywanie się do zawodu nauczycielskiego, przez rozszerzanie i pogłębianie wiadomości z psychologji i pedagogiki — niewykluczona jest przygodna praca w innych dziedzinach. Koło, liczące obecnie 44 członków, rozwija się pomyślnie pod opieką p. opiekunki i zdołało już zrealizować niektóre swoje cele. I tak — na zebraniach, odbywających się normalnie co dwa tygodnie wygłasza się referaty treści naukowej, podaje się wiadomości z dziedziny polityki, odkryć i wynalazków, literatury i sztuki, bibljografji, czyta się dzieła pedagogiczne i załatwia się sprawy organizacyjne.

W związku z przyszłym zawodem uczymy się łatwych dziecinnych piosenek, stosowanych do pór roku i różnych zabaw. Przy tej sposobności sami nieraz doskonale się zabawimy. Jedno z zebrań poświęciliśmy pamięci znakomitego malarza Malczewskiego, który zmarł w roku ubiegłym. Poznaliśmy jego życie i twórczość. Z okazji św. Mikołaja członkowie Koła ofiarowali niektóre rzeczy jak: obuwie, ubranie, bieliznę, które wraz ze słodyczami zostały ofiarowane dzieciom z ochronki. Zebrań dotychczas odbyło się 11, na których zostały wygłoszone następujące referaty:

1. Rozwój i podział psychologji.(—)Wykład p. prof. Kudlanki.

2. Malczewski i jego twórczość. (Kol. Włodarczykówna)
3. O przyczynach zaburzeń umysłowych u dzieci i młodzieży. (Kol. Steciuk).
4. Szkoła dla anormalnych jako kwestja społeczna. (Kol. Geller).
5. O niewidomych. (Kol. Worobjówna).
6. Nerwowość u dzieci i młodzieży. (Kol. Janiszewska).
7. Dziedziczność i jej wpływ na postęp ludzkości. (Kol. Jaszczuk).
8. Biografja pedagogów współczesnych. (Kol. Tomaszewska).
9. Wrażenia surogatywne u niewidomych. (Kol. Kamińska).
10. Psychotechnika. (Wykład p. prof. Kudlanki).

Większość wygłoszonych referatów była przygotowaniem się do wycieczki do Lwowa, która odbyła się w dniach 20 i 21 stycznia. Celem wycieczki było zwiedzenie zakładów dla głuchoniemych, anormalnych i ciemnych. Zwiedzenie tych zakładów dało nam dużo materjału do dyskusyj na zebraniach Koła, rozszerzyło nasze wiadomości psychologiczne i przyczyniło się do głębszego pojmowania działalności pedagogicznej i wychowawczej.

W dalszym ciągu kontynuuje się pracę w Kole; najbliższe zebranie będzie poświęcone pamięci sławnej działaczki na polu pedagogiki J. Jotejko.

SPRAWOZDANIE KASOWE od dn. 4-X-1929 r. do dn. 4-III-1930 r.

Przychód	Rozchód
Ze składek dziesięciogroszowych 19.50 złotych.	Wydatki kancelaryjne 10. 05 zł. Na słodycze dla ciemnych dzieci — 8,00 złotych. Na cukierki dla dzieci z ochronki na św. Mikołaja — 2,00 złotych.
Razem 19.50 zł.	**Razem 11.05 zł.**
Saldo 8.45 zł.	

Prezes:
(—) J. DIKSZTEJN.

Opiekunka Koła:
(-) p. prof. S. KUDLANKA.

Sekretarz:
(—) M. BIEDAKOWSKI.

w Krzemieńcu, dnia 18 — III — 1930 r.

KRONIKA.

IMIENINY P. PROF. FR. MĄCZAKA.

Dzień 8 marca był dla nas wszystkich, a szczególnie dla wychowanków Internatów i dla członków Koła Krajoznawczego, bardzo radosny. Był to dzień imienin kochanego naszego Opiekuna Koła, Dyrektora Internatów, p. prof. Franciszka Mączaka. W dniu tym mieliśmy możność dać Mu wyraz uczuć wdzięczności, za tak pełną poświęcenia współpracę z nami i troskę o nas. To też gdy nadszedł wieczór, ogromna sala Kolumnowa była zapełniona całkowicie. Wszyscy z oczekiwaniem spoglądali na drzwi, czy nie wchodzi Solenizant. Jakoż wkrótce nadszedł. Serca zebranych zabiły radośnie, twarze rozjaśniły się uśmiechem, a w sali rozległo się potężnie i radośnie „Sto lat". Zaczęli składać życzenia przedstawiciele wychowanków Internatów, Maturzystów, przedstawiciele Koła Krajoznawczego, a wraz z tem złożyli skromne upominki i laurki.

Po życzeniach uczniów zabrał głos p. Mączak. Jego barwny głos drgał szczerem i serdecznem wzruszeniem, jego oczy ogarniały wszystkich miłośnie, to też w każdem sercu potęgowały się coraz bardziej szlachetne uczucia względem niego.

A potem nastąpiły wesołe gry towarzyskie, zabawy, śpiewy solowe kolegów i koleżanek, aż wkońcu rozradowany sam Solenizant zasiadł do fortepianu i przy jego akompanjamencie zaśpiewał jakąś wesołą piosenkę ludową, która spowodowała ogromny wybuch wesołości i śmiechu na sali. Następnie udali się wszyscy na herbatę, a właściwie na kolację, gdzie wśród rodzinnej atmosfery, spędzili kilka przyjemnych chwil, ponieważ zebrał się chór uczniowski i odśpiewał kilka pięknych pieśni.

Na pożegnanie jeszcze raz radosne „Sto lat" i każdy z żalem żegnał salę żałując, że tak piękny i radosny dzień niespostrzeżenie i prędko upłynął.

AKADEMJA KU CZCI ŚP. P. GÓRSKIEJ.

Dnia 9 marca pp. profesorowie Liceum urządzili uroczystą akademję ku czci śp. p. Górskiej, byłej bibljotekarki i profesorki Liceum. Akademję rozpoczął p. Wizytator J. Poniatowski, poczem nastąpiła część koncertowa i przemawienia podkreślające czysty, jak kryształ charakter p. Górskiej jej pracowitość, obowiązkowość i poświęcenie.

Akademja zakończona została uroczystem zawieszeniem portretu zmarłej, nad drzwiami u wejścia do biblioteki licealnej.

Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA PRACY SPOŁECZNEJ.

W styczniu odbył się w Liceum zjazd kierowników sekcyj teatralnych

Związku Kół Młodzieży Wiejskiej. Pierwszą połowę dnia wypełniła część teoretyczna, na którą złożyło się zagadnienie o znaczeniu teatru ludowego, następnie uwagi ogólne o teatrze, dobór sztuk, obsada ról, próby, kostjumy, charakteryzacja i dekoracja.

Drugiem zagadnieniem była inscenizacja pieśni, bajek, klechd i t. p. w związku z czem zaraz po obiedzie nastąpiło zademonstrowanie próby inscenizacji wiersza „Pani Twardowska", którą wykonali uczniowie kursu IV-go seminarjum i klasy VII-mej gimnazjum. Po próbie poruszono ogólnie znaczenie inscenizacyj, oraz sposoby jej realizacji, poczem wszyscy uczestnicy Zjazdu obecni byli na przedstawieniu, które urządziła szkoła ćwiczeń w sali teatralnej.

Wykłady prowadziły p. prof. Ruskowa i p. prof. Kunicka, stroną techniczną zajęło się uczniowskie Koło Pracy Społecznej pod kierownictwem prezesa Minkacza Grzegorza, ucznia V-go kursu seminarjum.

Zadaniem Koła było przyjmowanie gości, opieka nad nimi, zorganizowanie posiłków, usługa w czasie ich trwania, dekoracje, oraz urządzenie wieczorka z tańcami. W czasie zabawy koledzy i koleżanki kursu IV-go wykonali oberka w strojach ludowych.

* * *

Koło Pracy Społecznej urządziło w tym okresie sprawozdawczym dwa wypady do okolicznych wsi. Pierwszym był wyjazd do wsi Wesołówki (5 km.) i Stożka (15 km.) dnia 30 marca, drugi do Uhorska (18 km.) dnia 13 kwietnia. Wykonano tam inscenizację kilku pieśni ludowych jak np: „Oj priadu, priadu", Łobzowianki, pieśni łowickich, inscenizację bajki „Dziad i baba", oraz urządzono odczyty o typach ludowych, które urozmaicono wyświetleniem przeźroczy.

NAGRODY i UZNANIA.

„Wytwórnia narciarska młodzieży Liceum Krzemienieckiego" otrzymała od Głównej Rady Powszechnej Wystawy w Poznaniu dyplom uznania za wyrób tanich i praktycznych nart.

Następnie Komisja Kół Krajoznawczych przesłała naszemu Kołu Krajoznawczemu w nagrodę za pracę regjonalną rocznik „Teatru Ludowego".

* * *

Dnia 12-III na rannej zbiórce niektóre klasy i kursy otrzymały obrazy przedstawiające najpiękniejsze widoki Liceum, oraz miasta, wykonane przez p. prof. Galimskiego.

Pan wizytator Dobrowolski podkreśliwszy znaczenie obcowania ze sztuką w życia codziennem, oraz jej wpływ na charakter i wyrobienie

smaku estetycznego, zaznaczył, że te obrazy nie tylko posiadają dużą wartość jako rzecz pamiątkowa, ale przedewszystkiem są cenne ze względu na artyzm w wykonaniu. Powyższe obrazy zostały przeznaczone dla klas wykazujących najlepsze postępy w nauce (V kurs Sem. VII kl. Gim.), bądź też klasom dbającym o piękny wygląd swej sali (III kurs sem.), lub okazujących duże zamiłowanie do rysunków (V kl. gim.).

Kurs V-ty otrzymał „Widok na Bonę", klasa VII-ma „Stary rynek", kurs III-ci „Liceum w nocy" i klasa V-ta „Domy bliźniacze".

WZNOWIENIE ROBÓT PRZY NIWELACJI BOISKA.

Z nadejściem wiosny młodzież licealna wznowiła dalej swą pracę, przy niwelacji boiska górnego. Praca postępuje raźno naprzód, a to dzięki temu, że przez boisko przeprowadzono małą kolejkę, która w bardzo dużym stopniu ułatwia przewożenie ziemi z jednego końca boiska na drugi. Montaż toru i częściowo wagoników został wykonany przez uczniów.

WIECZOREK ARTYSTYCZNY NA „PRIMA APRILIS".

Miłem urozmaiceniem krzemienieckiego życia było urządzenie wieczorka artystycznego dawnego humoru p. t. „Prima Aprilis". Powyższą imprezę zrealizowało przeważnie grono profesorów i urzędników licealnych. Czysty dochód tego miłego wieczorka w wysokości 485 zł. został ofiarowany Związkowi Pracy Obywatelskiej Kobiet na dożywianie dzieci w Krzemieńcu.

KURS FIZYCZNY w LICEUM.

Liceum ze względu na swe wyposażenie laboratoryjne staje się coraz bardziej wydatniejszą placówką oświatową na Kresach. Ostatnio odbył się dnia 24 kwietnia trzydniowy kurs fizyczny dla profesorów szkół średnich okręgu wołyńskiego. Otwarcia kursu dokonał p. Wizytator J. Poniatowski. Wykłady, oraz ogólne kierownictwo spoczywało w ręku p. prof. St. Kempf-Sokorskiego. Od godz. 8^{30}-12 odbywały się wykłady, zaś po południu od godz. 16-20 ćwiczenia. Łącznie z profesorami Liceum brało udział w kursie 32 osoby.

Z e ŋ t i,

WIOSENNE KWIATUSZKI.

Wiosna! Wiosna!... Któżby o tem nie wiedział. „Powtarzają to dęby dębom, bukom buki". Jednak są tacy, których umysł

zaćmiony jasnością kurzej ślepoty nie widzi tego, co jest naprawdę pięknem.

Za dawnych czasów nie tak bywało.....

W odległym wieku ery przeddaltońskiej tematem do rozmowy między kolegą a koleżanką była wyłącznie przyroda i tylko przyroda.

Naprzykład.

Przy spotkaniu (dawniej).

On: Dzieńdobry!

Ona: Dzieńdobry kolego. Jakaż dziś piękna pogoda!

On: (Z przekonaniem) Cudowne warunki do zwiewania z budy.

Ona: (Wodząc rozmarzonym wzrokiem po niebie i w upojeniu wdychając powietrze). Naprawdę czuć wiosnę.

On: Przepraszam bardzo, muszę już zwiewać „na wagarę" i tam zachwycać się tem pięknem.

Dziś.

On: Dzieńdobry koleżanko! Ile wam jeszcze brakuje podpisów?

Ona: Spytajcie się lepiej ile ja ich mam? (Głosem tragicznym) Już napewno zostanę się na drugi rok. Taki dziś miałam niedobry sen.

On: Przepraszam bardzo, bo muszę już iść wkuwać się. Dowidzenia!

Ona: Dowidzenia! (Z ogromnej oddali): Kolego! hop! hoop!.. Czy nie wiecie kiedy będzie zabawa?...

Nie jestem aż do przesady zwolennikiem wiosny, mimo że posiada dość dużo ładnych „kwiatuszków", bo i zima ma swoje powaby. Mój kolega pisząc zadanie na temat: Krajobraz zimowy", użył takiego wyrażenia: „Krajobraz zimowy jest jednym z najpiękniejszych, ponieważ wszystko wygląda jakby było oblane kwaśnem mlekiem". Dlaczego użył mleka a nie śmietany do zobrazowania piękna krajobrazu zimowego, nie wiem — może dlatego, że pisał to przed drugiem śniadaniem, na które w internacie otrzymuje mleko, a może z tego względu, że nasza ziemia jest miodem i mlekiem płynąca. To narazie jest dla mnie tajemnicą.

Dowodzą ludzie, że słońce w okresie pojawiania się plam, odziaływa na ludzi tępych a zwłaszcza daltonistów, którzy w tym okresie jeszcze bardziej głupieją. Jest to zresztą rzecz tak niepewna, że nie wszyscy mogą dać temu wiarę tak, jak mój dziadek, gdy mu powiedziałem, że droga do słońca wynosi 150 miljonów kilometrów, rzekł mi: Kto ci to powiedział?

— Pan nauczyciel — odpowiadam.

— Głupiś, dziecko moje, razem z nim. Chyba on tam był?

Ale nikt mi nie zarzuci kłamstwa, jeżeli dowiodę rzeczy najoczywistrzej i najprawdziwszej, wziętej z naszego życia szkolnego.

Mam kolegę Kazia — jednak że nie wszyscy mogą się domyśleć kto się, pod tem imieniem ukrywa postaram się dać bliższą jego charakterystykę.

Kazio był, jak to się mówi, „morus" chłop". Uczył się dobrze, miał poważanie i reputację u profesorów jako „solidna firma". Lecz tak, jak na świecie niema żadnego człowieka, któryby nie doznał nieszczęścia, tak też i naszego Kazia ono nawiedziło. Była to poprostu choroba, która nawiedza wielkich ludzi. Nie znaczy to, żeby nasz kolega już był wielkim człowiekiem, ale wszelkie poszlaki wskazywały, że nim w przyszłości zostanie.

Kazio, jak wspomniałem, był dobrym uczniem, specjalistą w matematyce, więc przy systemie daltońskim szczególnie był naszą ucieczką i pomocą w niepowodzeniach. Wszystkie jego zalety były ekonomicznie wyzyskane przez klasę, jednak koleżanki (nie wiem czemu to przypisać, czy ich większym zdolnościom do wynalazków, czy też przypadkowi), odkryły w nim nową zaletę i opatentowały wyłącznie dla swego użytku. Tą zaletą była nieograniczona jego cierpliwość i wyrozumiałość na ludzkie nieuctwo.

Od tej chwili straciliśmy go nazawsze. Koleżanki wzięły go w swoją opiekę i w swoje rządy. Prawda, że mu tam źle nie było, gdyż nigdy nie widzieliśmy go pod „pantofelkiem",

lecz zawsze w ławce w otoczeniu grona koleżanek, które w skupieniu upajając się melodją jego głosu, wchłaniały całym swojm umysłem nęcące tajemnice z dziedziny matematyki. On zaś, jak śmiały i odważny podróżnik, powróciwszy szczęśliwie z dalekiej, nieznanej i niebezpiecznej wyprawy w celu odkrycia nieznanych jeszcze dla pospólstwa „lądów", opowiadał rzeczy dziwne i tajemne.

Koleżanka Wandzia najbardziej była ciekawa każdego szczególiku tego niewszystkim dostępnego przedmiotu. Była to koleżanka, mająca fenomenalne zdolności językowe, t. zn. potrafiłaby ze trzy godziny gadać bez przerwy, gdyby ją tylko kto słuchał, przytem nadzwyczajna ruchliwość czyniła ją widoczną naraz we wszystkich kątach budynku.

Jednak dziwna rzecz, słuchając jego wykładu, siedziała spokojnie i ze skupieniem tak, jakby poza tym przedmiotem nic nie istniało. To dziwne zjawisko nas wszystkich zaintrygowało.

Pewnego razu, kiedyśmy w gromadce rozmawiali, któryś rzekł: „Wiesz, Kazuro, że w tobie Wandzia zakochana po same uszy". Kazio wytrzeszczył oczy, patrząc nieprzytomnie na wszystkich.

— No! no! — cudu dokazałeś — któryś rzekł — profesorowie od kilku lat pracują, żeby ją spokoju nauczyć, a tyś odrazu to uczynił.

— Ktoby się po tobie spodziewał?

— Cudotwórca!

— Cicha woda — któryś sceptycznie dorzucił.

— Ależ dajcie spokój — bronił się Kazio — co też wy o mnie wymyślacie, jeszcze po całym zakładzie rozniesie się i będę wszystkich pośmiewiskiem. Jak chcecie, żebym was czegoś nauczył, to chodźcie, bo mam taraz czas.

— Ty nam oczu swoją nauką nie zamydlaj, a lepiej ją wtłaczaj do główki swojej Wandzi, żeby trochę zmądrzała póki całkiem nie zgłupieje.

Kazio bronił się ze wszystkich sił, ale cóż mógł poradzić takiej gromadzie — w końcu sam uwierzył w to i zmienił sposób życia. Od tej chwili zaczął zwracać uwagę na swe uczesanie, ba, nawet krawat zmienił na muszkę, stał się innym i obcym dla nas.

Plamy słoneczne nie mogły na niego tak podziałać, bo ich w tym roku nie było — tylko wiosna to zrobiła.

Wiosna nietylko na jednostki tak zgubnie odziaływa, ale również i całe gromadki jej podlegają. Wychowankowie obydwu internatów odmawiają opłat za internat i tworzą swój własny internat w dziuplach drzew w parku i w pobliskim lesie, a ci którzy zostają, zwiewają z pogadanek na łono przyrody.

Wracają znów czasy Rousseau'a.

Staniemy się wkrótce wielkim narodem, gdy potrafimy praktycznie i ekonomicznie wyzyskać przyrodę. Jednak i tu są popełniane błędy. Oto nasz magistrat zasadził koło grobu Beaupre'go na górze Krzyżowej jakieś sosnowe kołki, dziwiąc się, że do tej pory jeszcze nie okryły się zielenią i nie zakwitły.

Tu wiosna już nic nie pomoże!

Choroba wiosenna stała się powszechną bo i ja również jej uległem, pisząc powyższe głupstwa, a ty czytelniku jeszcze bardziej zgłupiejesz, gdy je przeczytasz. (Drugi raz).

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Antoniuk D. Artykuł „Wigilja św. Andrzeja" jest dobry, jednak nie możemy go umieścić, gdyż podobne tematy poruszane już były w „Naszym Widnokręgu". Z Legendy o bratkach polnych" skorzystamy w przyszłości. Prosimy opracowywać podobne tematy nadal ze względu na ich dużą wartość folklorystyczną.

„S" Djalog „Stary i nowy system" jest bardzo nieudolny. Radzimy pisać prozą. Z artykułu „Jak się odbywają żniwa we wsi Rzeczycy", po dokonaniu pewnych przeróbek, skorzystamy w przyszłości.

Wolf Szafran. Artykuł „Liceum krzemienieckie" ma dobre momenty, jednak jako całość nie nadaje się do druku. Dyspozycja przy artykułach jest zbyteczna. Unikać trzeba pospolitych komunałów.

„St. Kurski". Wiersze „Jakże zapomnąć" i „Dawniej, a dziś", nie odpowiadają poziomowi naszego pisemka. Ujęcie zbyt błache. Rytmika i rymowanie kuleje.

„Tez". Wiersz „Białe bzy" ma pewną wartość, jednak ze względu na to że temat zbyt często powtarzany, nie zamieścimy. Pracować nad oryginalnością.

„Zet". „Wiatr od morza" (z legend kaszubskich) przedstawiałby większą wartość, gdyby był napisany w gwarze kaszubskiej. Prosimy o odpowiednią przeróbkę.

„Dziki osioł w zielonem polu". Może lepszy teren do popisów przedstawiałoby „zielone pole" z soczystą trawką, aniżeli „Nasz Widnokrąg".

„XY". Krzyżówka jest zbyt zawiła. Nie skorzystamy. Prosimy o odpowiedniejsze.

Mierzwiński A. Zużytkujemy w przyszłości, gdy więcej się zbierze podobnego materjału. Pracować nad sobą, bo są dobre zadatki. Zwrócić uwagę na ortografję.

„Dów". Z artykułu „Wspomnienia z niedalekiej przeszłości" widać, że autor ma pewne zacięcie i dowcip, jednakże ze względu na banalne i nazbyt rozwlekłe ujęcie pewnych momentów, nie skorzystamy. Radzimy pracować nadal.

PRENUMERUJCIE i ROZPOWSZECHNIAJCIE

„ORLI LOT"

BARDZO ZAJMUJĄCY, BOGATO ILUSTROWANY
MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY MŁODZIEŻY.

PRENUMERATA ROCZNA 5 ZŁ.

— ADRES ADMINISTRACJI: —

KRAKÓW — DĘBNIKI, BARSKA 41, KSIĘGARNIA „ORBIS"

— PRENUMERATĘ MOŻNA UISCIĆ —

TAKŻE PRZEZ ZARZĄD NASZEGO KOŁA KRAJOZNAWCZEGO.

Centralna Biblioteka PTTK
im. Kazimierza Kulwiecia
w Warszawie
I-81p 1929/30

CENA ZESZYTU 80 GR. DLA MŁODZIEŻY 40 GR.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Wydawca: Koło Krajoznawcze D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego, pozostające pod opieką prof. Franciszka Mączaka.

Redaktor naczelny: ANTONI KLUKOWSKI.

Krzemieniec, druk. „SŁAWA", Szeroka 76.